Lwów, 15. Lipca | Nr 84. | Rok 1854.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

III.

(Ciąg dalszy).

W dziedzińcu czekał go rzeczywiście koń jego siodłany i drugi dla masztalerza. Rozgniewany młodzieniec przybliżył się do grzebiącego murawę kasztana, ujął prędko cugle wraz z kosmykiem grzywy w lewą rękę, nogę założył w strzemię i już miał się rzucać na siodło, kiedy o kilka kroków tuż przed nim stanął, nieśmiałemi na niego spoglądając oczyma, popielato ubrany Kamilek.

— Widzę, że nie w porę przychodzę, — odezwał się przychodzący, — ale ci wcale nie przeszkadzam.

— Ale bardzo mi w porę przychodzisz, — odpowiedział Edmund, trzymając ciągle nogę w strzemieniu, — bo się wszystko we mnie gotuje i chciałbym się koniecznie wygadać. Ale jakże to zrobić?

— Puść źwierzę z ręki, — rzekł na to Kamil, — chodźmy do twego pokoju i pogadamy.

— Zapewne, to środek najprostszy, ale żal mi przejażdżki. Ale wiesz co? ot siadaj na tego drugiego konia, przejedziemy się razem i razem wrócimy a potem pogadamy.

— Nie, nie pojadę, — odpowiedział Kamil ze stanowczością, która się dziwnie sprzeczała z jego aniołkowatą twarzą i popielatą figurą.

— Ale jedź, jak mnie kochasz, i cóż ci to szkodzi?

— Nie pojadę, — powtórzył filozof.

— Kiż djabeł! — zawołał Edmund z niecierpliwością, — to przynajmniej mi powiedz dla czego?

— Dla tego, — odpowiedział Kamil, przybliżając się do ucha Edmunda, — że nie chcę być lalką dla pańskich kaprysów.

— A! kiedy tak, — rzekł na to Edmund, wyjmując nogę z strzemienia i oddając konia masztalerzowi, — to ja ustępuję. A wiesz dla czego?

— Dlaczegóż?

— Dla tego, że zwycięstwo zostawiam sobie dla rzeczy głównych a w drobnostkach z miłą chęcią odstąpię je tobie.

Na taką odpowiedź Kamil zacisnął usta, lecz wzięty pod ramię przez swego przyjaciela, w milczeniu dał się mu zaprowadzić do jego pokoju. Pokój to był duży, kwadratowy, narożny, oświecony dwoma potrójnemi oknami. Wszakże pomimo wielkości swojej tak był zarzucony różnego rodzaju rzeczami, że ledwie do łóżka i do sofy przejść można było swobodnie, w każdy zaś inny kąt trzeba się było przesuwać albo przepychać. A rzeczy te składały się ze wszystkiego, co tylko można sobie pomyśleć pod słońcem. Więc marmurowe posągi i gipsowe z innych odlewy, obrazy olejne w ramach i szkice na sztafażu, palety, pędzle i kredki, dalej karty jeograficzne i geologiczne, glob ogromny przedstawiający ziemię i drugi glob słonecznego systemu, przy nich cyrkle, linije, trójkąty, architektoniczne figury z drzewa i gipsu, i architektoniczne rysunki w rulonach, teleskopy, lunety i lupy rozmaitej wielkości. Pomiędzy tem wszystkiem porozrzucana broń palna i sieczna: tu pałasz dragoński bez pochwy, tam pistolet staroświecki na skałkę; tu demeszka z wyzłacanym napisem, tam krucica poczwórna; tu dubeltówka do kniei, tam garłacz zardzewiały bez kurka. W innym kącie rzemienne i jedwabne batogi, szpicrózgi i tręzle, ostrogi, jedwabne lejce i wytok. Przy ścianie fortepian, na nim gitara, nóty, ryciny i rysunki robione od ręki. Na ziemi tarcza, zestrzelana jak sito, przy niej stos xiążek i gazet, nad nią szereg czapek z kutasami i bez kutasów a w kącie lanca z jedwabną chorągiewką i karabin z bagnetem. I wszystko to tak razem pomięszane ze sobą a pomiędzy tem taka masa po wszystkich miejscach papierów i xiążek, że każdy nieuprzedzony poznał-by od razu, że tam mieszka syn jakiś szlachecki, na którego wychowanie rodzice nie szczędzą wydatków.

Bo tak się wychowują dzieci zamożnych rodziców w Galicyi. Synek taki musi się uczyć wszystkiego: wszystkich obcych języków prócz swego, muzyki i malarstwa, tańców, szermierstwa i jeżdżenia na koniu, pływania (chociaż tę sztukę zwykle odziedzicza po papie) i agronomii, budownictwa, weterynaryi i filozofii, geografii, historyi i estetyki, heraldyki i dyplomacyi.

Skutki tej edukacyi wszechstronnej są wszystkim znajome: bo któż nie zna owego nieprzegadanego mieszkańca prowincyi, który rozprawia o wszystkiem i wszystko rozumie najlepiej? — On jest mistrzem we wszelkiem rzemiośle i doktorem wszelkiej nauki. On szewca nowych ściegów naucza i wskazuje mu jak najmocniejsze nabijać obcasy, on stolarzom sam wydaje rysunki na sprzęty, on sporządza dla siebie plan pałacu i wszelkich budynków,

on stawia sam młyny, tartaki i sieczkarnie. On daje kucharzowi przepisy na nowe sosy i leguminy, on poprawia lekarskie recepty i leczy całą wieś morysonem na wszelkie choroby, on pokreślił ołówkiem całego Oczapowskiego i Łyszkowskiego, on najpiękniejsze hoduje owce, on lepiej krzyżuje rasy końskie niżeli Anglicy, on drwi z kalendarzów, z astronomów i gazet, on polityk uje daleko głębiej i lepiej niżeli wszystkie gazety, on przepowiada wszystkie wypadki świata naprzód i z największą precyzyą; on krytykuje wszystkich autorów a znajomym sobie całkiem nowe poddaje przedmioty; on dysputuje lepiej jak Cicero, jak Demostenes, lepiej jak Palmerston i Brougham, on zawsze zwycięża, bo daje słowo honoru na wszystko i ma za cztery litery tego, który jemu nie wierzy. On stanie niebawem na czele czegoś, co jest jeszcze w wielkim sekrecie. On pisze jakieś wielkie dzieła, które jeszcze są także w sekrecie, ale jak wyjdą ho! ho! On-by nawet wiersze pisał daleko lepsze niż Kochanowski i wiele jeszcze rzeczy-by zrobił, ale mu na to wszystko nie wystarcza czasu.

A chociaż szewc z jego nowego ściegu uśmiał się do rozpuku, sprzęty porobione podlug jego rysunku straszą ludzi jak widma, jego pałac wygląda jak browar, jego młyny nie mielą i nie rzną tartaki, chociaż od jego sosów łzy stają w oczach a od leguminy zalepiają się gęby, trzecia część wioski na morysona wymarła, owce powypadały a o jego koniach nikt wiedzieć nie chce, chociaż dzieła jego nie wyszły i nigdy nie wyjdą i wierszów nie napisał nawet takich jak Baka: jednak wszyscy wierzą mu wszystko i jeszcze się żaden nie trafił taki, który-by go przegadał. Owóż wszystkie skutki wychowania takiego, jakie zamożni rodzice zwykli dawać swym synom w tym kraju.

Edmund znał taką szlachtę po swoich sąsiedztwach i drżał z obawy, ażeby sam takim nie został. Dla tego, jakeśmy to widzieli powyżej, wcale inne myśli roiły mu się po głowie i dla tego nie uczył on się przez zabawkę, ale się uczył przez pracę. Wprawdzie i jemu kazano się uczyć od razu wszystkiego, i jego wprowadzono w towarzystwa dorosłych, trzymano mu konie i służbę i lożę w teatrze, i to go bardzo bałamuciło, i odrywało od pracy, — i ztąd różne nieraz mu przychodziły zachcenia i otaczały go różne pokusy. — Ale do dziś dnia jeszcze oganiał on się temu wszystkiemu wedle sił swoich, muzykę i malarstwo zaniedbywał z umysłu, z teatru zaraz po pierwszym akcie uciekał i nieraz po nocach odbywał swoje konne przejażdżki, ażeby przeto w dzień więcej czasu zyskiwać do siedzenia nad książką. Jakoż przypatrzywszy się zbliska zachowaniu się tego młodzieńca, nie można było o nim inaczej powiedzieć jak tylko, że chociaż nie stanie się koniecznie nową jutrznią na ziemi, jednak będzie z niego kiedyś mąż znakomity, i w kraju wiekuistego lenistwa i dziedzicznego nieuctwa, niepospolity.

— Ach! wiesz kochany Kamilu! — rzekł on wchodząc ze swoim przyjacielem do swego pokoju i rzucając kapelusz na sofę, — ta babczyna opieka już moją cierpliwość wyczerpała do szczętu.

— Dosyć to prędko się stało, — zauważał Kamil z uśmiechem, — bo podobno dopiero dziś tydzień się kończy twojego pobytu we Lwowie.

— Tak, tydzień, ale jaki! Ja nię rozumiem doprawdy, co ta babka chce ze mną. Odtąd tu jestem, niedosyć że mi codzień prawi o zaokrąglaniu i przyrabianiu majątku, codzień o jakiemś tam ożenieniu, które ułożyła bez mojej wiedzy z jakiemiś babami... bez mojej wiedzy!... jeszcze na mnie czarne sukienki sprowadza, ażeby mi tam jakiś dawali nauki. Z początku przypuszczałem tych panów do siebie i rozmawiałem z nimi jak z ludźmi, milczałem nawet, kiedy mi coś tam gadali. Ale jak mi zaczną dosadzać, ba widzę iż mię osiodłać chcą. Ha! cóż to ja jestem? muł, koń czy osioł? O! mospanie! siodłajcie sobie kogo chcecie, ale mnie pewnie nie osiodłacie! I słowo ci daję, że gdybym nie uważał na babkę, to-bym ich wszystkich tak ztąd wykurzył, że nigdy-by się tu żaden z nich nie pokazał. To tylko mnie dziwno, żeby babka, tak rozumna kobieta... no! nigdy-bym tego był nie powiedział.

To rzekłszy, począł chodzić po pokoju pomiędzy stoły zarzucone xiążkami i różnem narzędziem, a przeszedłszy się kilka razy, stanął przed swoim przyjacielem i spytał:

— I cóż ty na to Kamilu?

Ale Kamil nie odpowiedział nic na to. Siedział on ze spuszczonemi oczyma ku ziemi i zdawał się być nieczułym na wszystko, tak jak gdyby nie słyszał skarg swego kolegi i myślami swojemi był wcale ghzieindziej. Niepowinno to było zadziwić Edmunda, bo zachowanie się takie było zwyczajem a może już nawet naturą młodego, nieznajomych Łaskich potomka. Był on zawsze nieśmiały i małomówiący, zamyślony i w sobie zamknięty, a chociaż chwilami mówił aż nadto i wpadał przytem w zapał dziwnie ognisty, to działo się to tylko natenczas, kiedy go potrącono przedmiotem dotykajacym jego marzeń, lub zasad, albo jego osobistości. Więc chociaż w duszy jego wrzały nieustające płomienie, zdawały się one jednak jak gdyby obwinione w twardą jakąś skorupę, która nie tak łatwo dawała się przebić.

Edmund miał także duszę gorącą, ale ta nie była w nic obwinioną ani niczem okrytą, a jak na twarzy jego, podniesionej do góry i śmiało patrzącej, odbijało się każde uczucie jak gdyby w żwierciadle, taż każda myśl jego objawiało się zaraz przez usta. Tak będąc sam usposobiony, rozumiał on wswojej naiwności młodzieńczej, że nikt nie może być innym i że wszyscy są tacy. Wedle niego więc, co on kochał, powinni byli wszyscy ukochać, co on nienawidził, nikt nie mógł nawidzić, co jego oburzało, tem się wszyscy po-

winni byli oburzać. Dla tego patrząc przez chwilkę z niecierpliwością na milczącego Kamila, jeszcze raz go zapytał:

— No jakże? i cóż ty na to?

— Ha! cóż ja mam mówić na to! — przemówił nareszcie tamten, — źle jest, że tak nudną cię otaczają opieką, ale kiedy nie można inaczej, to trzeba ją znosić.

— Jakto? znosić? — zawołał wnuk srarościny, — to ja mam znosić to jarzmo, które na mnie bez mojej woli wciskają? Piękne dajesz mi rady, panie Kamilu. Gdybym nie wiedział, kto to mówi, to-bym przysiągł na to, że to mówi ktoś, kto z jarzmami bardzo jest oswojony.

— Jeżeli masz środki, to zrzuć je ze siebie.

— Środki! o. środki najmniejsza. Ale są względy, dla których tego uczynić nie mogę. Nie chcę martwić tej poczciwej staruszki, która chociaż nudna cokolwiek jest mi jednak i ojcem i matką.

— W takim razie nie pozostaje ci nic, jak znosić tę opiękę, którą cię otaczają.

— Tak jest, i będę ją znosił z godnością. Potrafię się poświęcić dla spokoju i szczęścia staruszki.

— Zapewne to będzie poświęcenie się z twojej strony, — rzekł na to Kamil, — ale czy poświęcenie rozumne, to inne pytanie.

— Dla czegóż?

— Dla tego, że poświęcenie się rozumne jest tylko natenczas, jeżeli to, czemu się poświęcamy, więcej jest warte niżeli to co poświęcamy!

— A tutaj? — spytał Edmund, wpatrując się z ciekawością w twarz swojego kolegi.

— Tutaj sądzę, że rzecz ma się w stosunku odwrotnym: bo jedno z kardynalnych twoich przekonań, mogące wprowadzonem być w życie, zabijasz dla kaprysu staruszki. (C. d. n.)

Prośba.

Ojcze! ulituj się,
Ojcze! zachowaj mnie,
Czystą, jasną jak łza!
Niech zniknie niby dym,
Miłość, i myśl o nim,
I drogich wspomnień mgła.

Ucisze serce me,
Zatrzymam w oku łzę,
I póki będę żyć,
Nie będę płakać, nie,
Ani go widzić chcę,
Ni nawet o nim śnie!

Tylko o Boże mój,
Płomiennych modlitw rój,
Podniesie się do cię,
Gorących jak ta łza,
Bolesnych jak pierś ma,
A ty wysłuchasz je!

Gdy wsiędzie on na koń,
Na krwawej bitwy błoń,
Na boje będzie biegł,
To święta twoja dłoń
Otoczy jego skroń,
To ty go będziesz strzegł!

Ty dasz to Boże mój,
By jego życia zdrój,
Niezmącon cicho ciekł,
By cały żywot ten,
Niby o szczęściu sen,
Miło dla niego zbiegł.

By jaśniał odtąd już,
Bez chmur, bez słot i burz,
Po nad nim niebios strop.
By biały szczęścia kwiat,
Wonną swą główkę kładł,
U jego drogich stop.

Tak będę wiecznie, tak,
Jakby ku gniazdku ptak,
Ku tobie z modłą biedz!
Aż jemu szczęście dasz,
A mnie dasz... Ojcze... nasz...
W cichej mogile... ledz!...

WISIELEC.

(Ciąg dalszy).

Właśnie zaszeleściało w łozinie i wyszedł z gęstwiny na drogę krępy i podsadkowaty męszczyzna, w sieraczkowym kontuszu, z nachajką za pasem, w czapce okrągłej, której lisie uszy tem tylko zwiastowały pogodę i ciepło, iż nie obwisały na dół lecz sterczały do góry. Stanąwszy na drodze na przeciwko jadących, wziął się pod boki i przemówił machając zawiesistemi wąsami: Jak się macie Bartoszu? gdzie Bóg prowadzi?

— Dobre południe jegomości, odpowiedział jeden z jadących uchylając z lekka czapki.

— Jedziema do Sądowej Wiśni, dodał młodszy, odebrać dług od Rohulika.

— Od Wiencka? zapytał kontuszowy jegomość nazwiskiem *Prokop Szczerba*, co wreszcie dodaję, bo już byłoby trudniej czytelnikowi tego się domyśleć. Historya wymaga takich dokładności, bo nazwisko jest zresztą rzeczą obojętną; w powieści zmyśleć go wolno.

— Od Wiencka.

— To w sam raz rzekł Prokop. Obaczycie po drodze jak

będą wieszać złodzieja na pagórku przed miastem. Będziesz tam mnóstwo narodu.

— Cóż to dziwnego, rzekł Bartosz obojętnie.

— Ależ bo ten złodziej, odpowiedział Szczerba, będzie w zbroi zupełnej jakby jaki rycerz.

— Dla czegóż znowu w zbroi?

— Bo kradł zbroję.

— Więc wieszać go będą w tym co chciał ukraść?

— A jużci.

— Zkąd u kata, rzekł młodszy, mogła przyjść myśl kraść zbroję?

— O myśl nie trudno, powiedział Bartosz.

— Tylko o zbroję, dorzucił jegomość pan Szczerba chcąc sobie przywłaszczyć połowę konceptu.

— Bo też jej nie miał.

— A byłażto piękna zbroja?

— Baj prawie! Sam ją widziałem w zamku starościńskim; wysadzana złotem i jakiemiś tam zamorskiemi kamyczkami. Aż brała za oczy.

— Powiedzże mnie jegomość, jakże złapano złodzieja?

— Oto zbroja stękała i brzęczała jak ją dźwigał. Nie chciała opuszczać swego właściwego pana.

— Więc brzęk ten pobudził czeladź we dworze i wtedy złapano złodzieja?

— Nie zaraz jeszcze, nie zaraz. Najprzód wszyscy się postrachali.

— Oczewiście! Od tego zaczynają zawsze okradani w przytomności kradnącego. Inaczej złodziej nie miałby przewagi nad właścicielem.

— I okradani nie mieliby silnych wrażeń. Czeladź dworska nie sądziła zrazu aby to był złodziej.

— A jakże?

— Brali go za upiora. Bo bestya zczerwieniał się pod ciężarem jakby z płomienia. Do tego wydawał się w ciemnym korytarzu dwa razy większy i sprawował idąc szczęk przeraźliwy. Więc obudzono pana starostę który nie bojąc się żywych ani umarłych, chwycił go za gardło i sam przytrzymał.

— A potem osądził?

— Na szubienicę w zupełnej zbroi.

— Dla czegóż w zbroi? Czyliż to szlachcic?

— Pan starosta, to wielki rycerz i pan mądry. Chciał on aby powieszenie było nie tylko przykładem dla drugich, ale przydało się i jemu samemu. A wiecie, iż zbroi, która była na wisielcu, nie chwyta się szabla ani kula.

— Więc pan starosta kazał wieszać złodzieja w ukradzionej zbroi, aby potem miał w czem bespiecznie wojować.

— Co za gracz!

— Zachciałeś!

— Spieszmysz bo chciałbym obaczyć...

— Macie dość czasu. Nie męczcie próżno waszej chudoby; wszak pewno jeszcze powrócicie do domu chociażby i w nocy.

— Jużciż! ale nasze chytki będą przecież miały parę godzin do wypoczynku.

Wten sposób rozmawiali z godzinkę nim stanęli przed wzgórzem.

Miał słuszność jegomość pan Szczerba, przyjechali zawczasu.

Podstarościowie mają zawsze słuszność.

Górę pokrywali widzowie, ściągający się ze wszystkich stron. Szubienica była nie wielka, zwyczajnie jak dla chudopachołka; jednakowoż dostateczna aby nie tykał ziemi nogami, skoro szyja uwiśnie w stryczku, który pod powiewem wiatru kolebał się na prawo i na lewo.

Wskazany mógł być pewien, iż będzie miał piękny widok, umierając. Gdyż twarzą miał być obrócony ku Wiśni i Sądowemu miastu. Tem lepiej jeźli ten widok mógł go pocieszyć; ale wątpię.

Przecież Wiśnia była spokojna a między jej srebrną łuską a błękitnem niebem unosiła się od czasu do czasu biała chorągiewka, jak wracający do Boga anioł, którego skrzydła tykały jeszcze naszego świata.

Dwaj konni podróżni zbliżyli się jak mogli do rusztowania i czekali, jak drudzy, mając nad to tę korzyść, iż widzieli lepiej z wysoka i oczekiwanie ich nie męczyło.

Nie długo też czekali.

Godziną przed zachodem słońca ukazały się straże zamkowe, a między niemi siedział na wozie skazany w zbroi zupełnej. Przyłbicę miał spuszczoną, ręce związane na plecach. Twarzy nie było widać lecz sądząc z postawy musiało mu być nie wygodnie, i smutne nagabały go myśli.

Przywieziono go przed rusztowanie a oczom jego otworzył się widok niezbyt powabny.

Kat przykładał drabinę do słupa, chorąży pancerny czytał wyrok na wyniesieniu, a kapelan zamkowy, autor niniejszej powieści, odmawiał w skrusze modlitwy za umarłych. Złoczyńca ani się ruszył. Sądziłbyś, iż spłatał widzom figla i umarł przed powieszeniem.

Zawołano na niego aby wstał z woza i przystąpił do drabiny.

Daremnie! ani znaku życia.

Łatwo jest pojąć tę niepospieszność.

Więc oprawca wziął go wpół, podniósł i postawił na ziemi.

— To mi zuch!

Postawił go na ziemi, święta to prawda.

Ale skłamałbym twierdząc, iż stał jak go postawiono; owszem w jednej chwili zgiął się i skulił jakby połamany.

W tem skończyło się odczytanie wyroku.

— Czy żądasz czego? zapytał kapelan winowajcę.

— Żądam, odpowiedział nieszczęśliwy głosem żałobnym i przytłumionym.

— Czego?

— Ułaskawienia.

Gdyby ten wyraz nie istniał, wtedy była zaiste najlepsza sposobność aby go wymyśleć i wymówić.

Starosta wzruszył ramionami i krząknął na kata aby robił swoje.

To też oprawca stanąwszy obok drabiny, ciągnął przed siebie nieszczęśliwą ofiarę, wszelako z trudnością, bo wskazani na śmierć mają ten instynkt, iż się ociągają przed śmiercią.

Zdawało się, iż kat z winowajcą spierali się przez grzeczność o to, kto pójdzie pierwszy.

Nareszcie wziął go kat w ręce jak z wozu a postawiwszy na trzecim stopniu popychał dalej przed sobą.

— Brawo! zawołał tłum.

Złodziej stanął na rusztowaniu.

Wtedy kat założył mu stryczek na szyję a kopnąwszy silnie nogą strącił z rusztowania w przestrzeń bardzo podobną do wieczności.

Powszechny okrzyk towarzyszył temu rozwiązaniu łatwemu do przewidzenia i dreszcz przejął patrzących. Jest chwila w której człowiek umierający, jakąkolwiek popełnił by zbrodnię, jest zawsze większy od patrzących na jego śmierć.

Zawieszony kolebał się jeszcze chwil kilka, do czego miał zupełne prawo; nareszcie ustał i wisiał wyciągnięty, nieporuszony.

Przytomni oglądali jeszcze czas jakiś zbroję łyskającą do słońca, aż wreszcie podzieliwszy się w większe i mniejsze kółka powracali do domu, rozmawiając o tem zdarzeniu.

— Ho! brzydka śmierć! odezwał się jeden z naszych podróżnych.

— Dalibóg! wisieć za to, iż się nie udało ukraść zbroi! To za nadto!

— Co myślisz?

— Ciekawy jestem jakby go karano gdyby się kradziez była udała?

— Nie karano by go wcale. Bo umknąwszy raz z zamku miałby najpodobniej ten zdrowy rozsądek aby nie wracać.

— Zatem srożej jest karany za występek niedokonany niżby był za dokonany.

— Ale miał zły zamiar, a zamiar jest nasieniem uczynku, tak właśnie jak kąkol, chociaż nie każde ziarko wschodzi, lepiej jest każde wybrać i zgubić, chcąc mieć czyste zboże.

— Więc zamiar będąc mu poczytanym za uczynek, słusznie został ukarany.

— Bardzo słusznie.

— Ale patrzeć na to nie miło. (D. n.)

Wspomnienia z podróży i wycieczek po Kaukazie.

Na połowie prawie drogi od Rostowa nad Donem do Stauropola, na wzgórku, wznosi się słup malowany, stanowiący granicę ziemi Kozaków dońskich od kraju kaukazkiego. Nie zapomnę tej epoki pamiętnej, gdyśmy stanęli koło tego słupa. Słońce paliło, wzbite prawie nad głowy, pot strumieniami ściekał nam po czole i po twarzach pokrytych kurzem i opalonych, lubo to było dopiero początek lata, a raczej koniec wiosny południowej. Jeszcze krok jeden, a mieliśmy stanąć w innej części świata i pożegnać Europę z jej całą cywilizacyą, z blaskiem oświaty chrześciańskiej, z przepychem i zbytkiem przemysłu i sztuki. Dziwne uczucie nas opanowało: byliśmy zamyśleni, milczący, lubo jedno i to samo czuliśmy wszyscy w tej uroczystej chwili przestąpienia granicznej linii między Azyą i Europą. Poza nami, obejrzawszy się, ciągnął się kraj stepowy z piaszczystemi gdzieniegdzie kurhanami, ręką ludzką, czy też wiatrem usypanemi; siedziby Kozaków dońskich, stanowiące, że tak rzekę, przedsionek Azyi. Bo tak stannice, czyli wsie kozackie, jako też charakter i obyczaje, noszą już piętno Wschodu, już się odróżniają od europejskich. Lud zda się spokrewniony z ludem Małorossyi i Ukrainy, któreśmy przebyli, a przecież spojrz na jego fizyonomią śniadawą, na włos kruczy i czarne błyszczące oczy, a zawrócisz się myślą prędzej do palących stron Wschodu i Południa, niż do tych równi słowiańskich, gdzie mieszka lud łagodnej cery, błękitnych oczu i jasnolnianych włosów.

Ogrom myśli cisnął się do głowy. Jedna chwila jeszcze, a ta Europa świetna, tysiące grodów, świątynie, pałace, muzea, uniwersytety, sale balowe, mody, kunszta, cała wykwintność życia ucywilizowanego; nareszcie ta jej przeszłość dziwna, napiętnowana krwawemi przechodami od jednego stanu jej cywilizacyi do drugiego, pracująca w pocie czoła dla swej potomności przez tyle wieków; ta przeszłość, co rozkwitnęła tylą ludami, ich pracą i przemysłem: to rycerska w pancerzu i hełmie, z herbową tarczą, to zbrojna bagnetem i armatami, wytłaczająca stosy ksiąg i dzienników, to znów unosząca się po oceanach i lądach na skrzydłach pary i węgla; ta przeszłość owej Europy miała za chwilę pozostać za nami i umrzeć z nią dla nas ze swemi licznemi skutki, na długo, a może na zawsze! Za chwilą mieliśmy stanąć na ziemi starożytnej, w kolebce rodu ludzkiego, zkąd wylewało się tyle pokoleń różno-plemiennych do nas, jeszcze dla Rzymian niosących postrach, a niewolę później dla naszych pradziadów. Tu niegdyś władały Złota i Kapczacka horda; tu obozował Tamerlan i ztąd uderzał na Europę; ztąd Czyngishan i Batu rozsyłali swe hordy: tu jeszcze dawniej Mitrydates urągał się z oręża Rzymian i śmiał się z ich chciwości i gróźb nieudolnych. Tu Grecy, po nad temi morzami Azowskiem (Meotyńskiem) i Czarnem (Euxyńskiem) rozsypywali

tysiączne kolonie. Tu stare cudowne krążyły legendy o św. Janie, tu zapuszczał się Marko-Polo, Kontaryni i t. d. Ztąd wypływały z ludami liczne podania czarodziejskie, fantastyczne, co nas tak bawiły opowiadane ustami nianiek co nas straszyły cudownościami i potworami. Bo i natura tu cudowna: płody niewidziane u nas lub rzadkie, całe lasy orzecha włoskiego i winne latorośle oplatają olbrzymie dęby i jesiony, lub morwę, a złoty bażant trzepocze ciężkiem skrzydłem pomiędzy krzewami.

Ileż tu czarów i tajemniczej rozmaitości przed nami! Naprzód więc śmiało do tej dziedziny cudów, do krajów bajecznych! Krok jeden i z Europy wstąpiliśmy do Azyi.

Naokoło kraj stepowy, równy, jednostajniejszy niż był dotąd: zieloność czysta bez odmian. Ledwieśmy uczynili kilkanaście kroków, przy najspokojniejszym stanie atmosfery, wicher nagle zakręcił się po drodze przed nami. Kręcąc szybko piaskiem i trawą, uformował ostrokrąg przewrócony i postępował poważnie przed nami, jakby robiąc honory nieznajomym gościom. Rzeczywiście w tym odludnym stepie zdało się nam, że mamy do czynienia z duchami, władcami tych pustyń; bo skoro jeden uragan uciekł gdzieś w obłoki, drugi wnet występował z nowym świstem na środek gościńca i sunął się przed nami, zasypując nam niekiedy oczy garściami piasku.

Kraj zaczynał się powoli ożywiać; powoli dawały się dostrzegać w głębi stepów zielonych niezmierne stada bydła i owiec, ubielające wielkie przestrzenie. Rola mało gdzie uprawna; ziemia porzucona bez użytku, choć pełna sił żywotnych, zieleni się paszą obfitą. Drzew tu nie widać. Las rzadkością w tych stepach, równie jak w całej Małorossyi, niemniej jak dobra woda. Bo jeśli jest gdzie studnia, wodę ma słoną i gorzką, a strumienie czasem spotykane sączą wodę nieczystą i błotną. Podobny strumień napotkaliśmy w pierwszej wiosce, która od niego miała swoje nazwisko. Był to Woniuczyj Jegorłyk, a sączył powoli zielonawą wodę po dnie mszystem.

Dobrze jeszcze przed wieczorem stanęliśmy w Jegorłyku. Włościańskie chaty wybielone z czystemi okienkami, z ogródkami, przyjemne zrobiły na nas wrażenie, przypominając wioski Małorossyi i Ukrainy, i gościnność tamtejszego ludu, do której tak często wzdychaliśmy przechodząc Don i stając na kwaterach u niegościnnych Kozaków dońskich. Na spotkanie nasze już wyszedł socki z swojem godłem, długim kijem, i wnet ukazał domy, gdzieśmy mieli stanąć na nocleg. Każdy z nas ciekawy był zapoznać się z swą gospodą, gospodarzem i jego rodziną; więc nie czekając rozeszliśmy się z myślą rychłego zejścia się i ustawienia w miejscu pewnem konia i wózka, jako i dla złożenia rady ogólnej, na jakiej zwykle stanowiliśmy, co mamy sporządzić dla zasilenia się po całodziennej podróży. Jedno i drugie wnet zostało załatwionem, jak tylko stanąłem ze swą bryczką i koniem w podwórzu u swego gospodarza, jak to zaraz opowiem. (C. d. n.)

Wieczór u Iskender Beja (hr. Ilińskiego.)

(Dokończenie.)

Łatwo pojąć że przy wieczerzy głównie rozmawialiśmy o potyczce pod Karakal. Najpocieszniejszą stronę opowiadań tych stanowił epizod opowiadany nam na rozkaz Iskender Beja, przez jego własnego przybocznego huzara, niejakiego Mustafę, Polaka, który w roku 1848 był w Krakowie, a teraz jako wolontaryusz daje się Moskwie we znaki.

— Powiedz że nam Mustafo! — ozwał się Abdellah, jak że to się stało z owemi 1000 półimperiałami, które ów major rossyjski miał w swoim trzosie, i które ci Baszi-Bożuk jakiś z przed nosa porwał.

Mustafa tedy zaczął opowiadać to zdarzenie, które jego pan ze sto razy już może słyszał, łamanym niemieckim językiem. Już to rozmowa nasza była dziwnie pstrokata, bo prowadzona wszystkiemi językami, które miały się jeden drugim kompletować.

Sens moralny tego epizodu był ten, że Mustafa, wielki amator oficerów rossyjskich, upatrzył sobie jakiegoś majora, i w czasie szarży wpadł na niego wprost. Rossyjski major chciał strzelić do niego z pistoletu, lecz Mustafa go uprzedził i kolbą od strzelby którą miał na plecach, powalił go nieżywego na ziemię! Trzech Baszi-Bożuków przyskoczyło także; snać im wpadł w oczy dobrze wypchany trzos majora. Nieprzyjacielskie kule padały rzęsiście; padł jeden i drugi Baszi-Bożuk, a podczas gdy Mustafa lubownik koni, chciał uchwycić majorowskiego konia, trzeci pozostały Baszi-Bożuk, korzystał z tego i ze śmierci kolegów i szczęśliwie odwiązawszy trzos majora, znikł z nim bez wieści. Tak się zakończyła dla Mustafy smutnie potyczka pod Karakul, w której własną ręką zabił ośmiu nieprzyjaciół, samych oficerów i wachmistrzów, bo prostemi żołnierzami nadto pogardza, by się miał brać do nich. Iskander Bej pocieszał go, przyrzekając mu nową suknię, co go w najlepszy wprowadziło humor.

— Ale jakże się to stać mogło panie pułkowniku! — ozwał się: że mogłeś z tak znacznie mniejszą siłą pobić Moskwę, i zabrać im armaty, kiedy sami żadnej nawet armatki nie mieliście?

— Nic to tak bardzo trudnego z temi armatami — odrzekł Iskander Bej. Wszystko stanowi dobra wola i miłość ojczyzny, której mają dosyć nasi żołnierze. Mieliśmy tego dowody w Polsce. Raz we trzytysiące ludzi tylko pobiliśmy Rydigiera 25,000 ludzi, i zabraliśmy mu armaty. Bo w wojnie bierze się to co się wziąć chce, byle była silna i prawdziwa po temu chęć. A w Portugalii mówili nam, że Oporto jest fortecą nie do wzięcia; a przecież wzięliśmy ją i to dosyć prędko.

Wszystko to opowiadał nam bardzo naturalnie stary

bohatyr, bo choć czerstwo jeszcze wyglądał, znać już wiek na zmarszczkach ogorzałej twarzy, i na siwieć poczynających włosach. Oczy tylko jego ponad nosem wschodniego typu, zgarbionym, świeciły młodo, żywo, płomieniście. Bez przesady i przechwałki mówił nam o tej potyczce, w której się przecie tak odznaczył, jak dotąd żaden z wodzów tureckich, o potyczce najsławniejszej z tej wojny dla Turków, najhaniebniejszej dla Rossyan. Opowiadał jakby od niechcenia językiem niemieckim, którym władał dosyć trudno.

Główny zarys tej potyczki był następujący:

Oddział rossyjski wyszedł ze Slatyny w niedzielę dnia 28. maja, wcelu rozpoznania pozycyi nieprzyjacielskich na drodze do Krajowej. Oddział turecki miał takiż sam zamiar. Idąc w podobnych celach naprzeciw siebie, musieli naturalnie się zdybać. Pułk huzarów rossyjskich znajdujący się w tym oddziale, nie miał szczęścia zupełnie, razy już kilka w czasie tej wojny został mocno pobity. I tym razem wisiała nad niemi fatalność, bo to była niedziela, dzień dla Moskwy złowrogi. Okoliczności te podniósł Iskender Bej, przemawiając do swoich żołnierzy, i zwrócił ich uwagę na to, że poczynający się właśnie Ramazan należy się oddać na cześć proroka.

I tak się też stało. Iskender Bej rozpoznawszy położenie i ruchy oddziału nieprzyjacielskiego, opartego o wieś, rozdzielił wojsko swoje na trzy hufce. Środkiem dowodził sam, a oba skrzydła powierzył Jawid Bejowi i adjutantowi Hideat. Skrzydła zaś te rozsunął tak szeroko, aby środkiem postępującego nieprzyjaciela, gdy się wysunie na przód, pomału oskrzydlić i tył zabrać. Plan się udał zupełnie. Rossyanie wyruszyli naprzód. Iskender Bej uderzył w środek i przełamał go, a skrzydła oba lotem piorunu przyleciały i otoczyły prawie nieprzyjaciela. Ucieczka odbywała się bez ładu; większa część oddziału nieprzyjacielskiego wpadła na bagna, gdzie mnóstwo poginęło Rossyan. Sam dowódzca rossyjski winien był ratunek swój niezwyczajnej jedynie rączości konia swego.

Jak bez pretensyi rozpowiadał Iskender Bej, tak też i po drugich oficerów postawie nie poznałbyś, że tylko co wrócili z tak świetnej wyprawy. Rozmawiali wszyscy żywo i wesoło, radzi dowiedzieć się czego nowego ze świata politycznego. Głównie dowiadywali się o Napiera, o Niemcach czyli raczej o austryackiem wojsku o którem tu wiele trzymają, i wielkiej się po nim spodziewają pomocy. Jednem słowem cały wieczór przemknął nam bardzo miło i przyjemnie i tak towarzysko, jakby na jakiej wieczornej pogadance w Wiedniu.

Raz tylko Iskender Bej wpadł w zapał, gdy jeden z przytomnych rozpowiedział nam o jakimś Baszi-Bożuku, którego widział jak wszedłszy do Krajowej, wiózł na koniu, ogromne drzwi, złupione w Kalafacie. Mimo pociesznej strony tego rabunku rozgniewał się Iskender Bej i zaręczył nam, że będzie się starać wyszukać tego rabusia i złapawszy każe powiesić tej chwili. Na pochwałę Iskender Beja można tu dodać, że wojsko nieregularne pod dowództwem jego jest uorganizowane i utrzymane w doskonałej karności. To wojsko pokazuje się coraz użyteczniejsze, i wyjąwszy małe wyjątki, pełne prawdziwego zapału patryotycznego, i coraz mniej skarg na siebie wywołuje. W ogóle powiedzieć można, że sympatye dla wojska tureckiego są wielkie, mianowicie w stosunku do nienawiści jaką wszyscy prawie mieszkańce przejęci są dla Rossyan.

Na zakończenie wieczoru Mustafa przyprowadził siedm chartów — pozostałych jeszcze z psiarni Ilińskiego. Jest to rodzaj psów, w których wódz ten ma największe upodobanie.

Nazajutrz mieliśmy się zejść na śniadanie. Lecz tej nocy jeszcze przyszedł rozkaz, i nazajutrz pusto już było wszędzie, bo wszyscy poszli na nowe wojny i niebezpieczeństwa.

Rozmaitość.

* **Proces Dumasa z wdową Balzaka z domu Rzewuską,** bardzo zajmował w tych czasach paryską publiczność. Chodziło o postawienie nagrobka sławnemu romanso-pisarzowi, na co Dumas ogłosił składki, nie zniósłszy się poprzednio z panią Balzak, która ze swej strony zajmowała się sama postawieniem pomnika mężowi, nie potrzebując składek do tego dzieła. A że żyje samotnie, i Mousquetaira nie czyta, nie wiedziała długo co się święci; bo ani różnokolorowych afiszów, porozwieszanych po murach miasta, ani mnogich listów, które czynny Dumas w tym przedmiocie rozpisuje i odbiera, wszystkie drukując w swym dzienniku, nie czytała.

Aż wreszcie przyniósł jej ktoś numera Mousquetaira, w których codziennie, jakby kupiecki anons, drukowano imię Balzaka na czele jakiegoś zawiadomienia o balu lub koncercie, dawanym na zakupienie owego grobowca.

Zraniło serce wdowy takie wdzieranie się obcych w jej prawa, oburzyło ją wrzaskliwe zbieganie się nieproszonej gawiedzi na świeżym jeszcze grobie męża, wreszcie i dumę wdowy mocno dotknęła owa nieproszona żebranina i śmiałość, z jaką obcy świętych praw ją pozbawia. Kazała więc prosić Dumasa, żeby zaprzestał kwestować, bo nagrobek męża wedle jej rozporządzenia już rozpoczęty. Nad to kazała architektowi trudniącemu się nagrobkiem ogłosić po dziennikach następujący list:

„Szanowny redaktorze! Z zadziwieniem dowiaduję się, jakoby zbierano składki na pomnik Balzaka, gdyż od roku pani Balzak poruczyła mi tę pracę, oraz dała potrzebne na to fundusze, i pomnik już jest na ukończeniu.

„Proszę cię szanowny redaktorze o zamieszczenie niniejszego listu w swym dzienniku. Wypada bowiem zawiadomić publiczność, że wdowa Balzaka nie chce z nikim kosztów pomnika podzielać, gdyż tego nie potrzebuje. Zapewniam oraz tych, których pamięć sławnego pisarza obchodzi, że pomnik jego będzie godny autora Ludzkiej Komedyi.”

Budowniczy Lampert.

Mimo to, składki nie ustawały. Pani Balzak choć ze wstrętem, musiała się uciec do sądu. W zaskarżeniu dziwi się, zkąd naraz przyszła ochota Dumasowi wdzierać się tak uporczywie w jej prawa, stawiać pomniki jej mężowi, z którym nietylko się nie przyjaźnił za życia, ale poróżnił zupełnie. Dalej woła oburzona zwracając mowę do Dumasa: „Szanuj mnie, bo byłam jego żoną, a dziś sukce-

sorką złych czy świetnych jego powodzeń; szanuj mnie, bo jestem legatorką przywiązania człowieka, którego imię noszę, legatorką jego ostatniej myśli i ostatniej jego woli.»

Na to oburzony Mousquetaire w wymownych artykułach wykrzyknął: «Jakto? jeszcze się pani skarżysz? Jesteś niewdzięczna, niesprawiedliwa; jesteś egoistka, oschłe masz serce, krótko widzisz! Nie pojmujeszże, iż tu o sławę męża twego idzie, na co nie twego ale składkowego potrzeba pomnika.« (D. n.)

*** O jarmarku ostatnim w Ułaszkowcach w Czortkowskim.** Jarmark ledwie w trzeciej części był tak liczny, jak lat dawniejszych. Kupców na zboże było dosyć, ze z naczną gotówką pieniędzy. Szlachta trzymała się z ceną zboża, i mało kto sprzedał. Ledwie pareset korcy sprzedano nowego zboża, za które płacono pszenicę po 6 złr. 24 kr. żyto po 4 złr. 30 m. k. Wódki sprzedano ledwie do 20,000 garncy po 1 złr. 6 kr. m. k. garniec okowity, z obowiązkiem oddania w pierwszych dwóch miesiącach, to jest: w październiku i listopadzie; — po 1 złr. m. k. płacili, którzy później w grudniu i styczniu odbierać mają. Kukurydzę sprzedawano w ten sposób: kupujący dał zadatek na każdy korzec po 2 złr. m. k. ma odebrać w styczniu i dopłacić do ceny jaka wówczas będzie, potrąciwszy 12 kr. m. na każdym korcu eskonto; widziałem podobny kontrakt na pare set korcy.

Konie robocze były drogie. Przypędzono dwa stada tabunów z Rossyi Romaszkana w ilości 170 koni a żydowskich 100 koni. Z tych kupli żydzi handlarze konie rasowe dobre i płacili dosyć tan io bo do 130 złr. , k. za sztukę. Pozostałą młodzież trzyletnią i z małemi błędami sprzedano od 50 do 70 złr. m. k. sztukę.

Wołów było mało i drogie, chłopi najwięcej sprzedawali parami, płacono za parę, która po wykarmieniu mogłaby 10 centnarów ważyc do 120, mniejsze od 80 do 100 złr. parę; z Rossyi przypędzono dwa stada wołów Romaszkana 350 sztuk, żydowskich 200 sztuk, Żydzi handlarze rozkupiwszy woły z Rossyi przypędzone, popędzili po większej części do domu, nieznalazłszy kupca.

Od trzech tygodni zamknięto komorę rossyjską dla koni i wołów. Romaszkan i żydzi którzy przypędzili, musili prosić gubernatora w Kamieńcu o pozwolenie i wykazać się kontraktami zawartemi z kupcami galicyjskiemi jeszcze przed 1. maja 1854. Co się zaś koni tyczy, musieli się wykazać kontraktami równie przed 1. maja zrobionemi z liwerantami tutejszemi, i zarazem dowieść, że te konie są przeznaczone dla armii austryackiej. — Tę wiadomość od nich samych powziąłem.

Kupcy z towarami w tym roku bardzo dobrze wyszli, utargowali nad spodziewanie. — Prócz lwowskich, brodzkich i z Krakowa, przybyli także z Pesztu z znaczną ilością sukien gotowych i z zapasem wyrobów płóciennych, które to płótna po bardzo niskich cenach puszczano. Na wystawę bydła przypędzono małą ilość; celowały krowy p. Bogdanowicza z Kosowa, buhaj p. Krysztofowicza z Trybuchowiec; buhaj tyrolski p. Lanckorońskiego i klacz z dwoma łoszętami bliźniętami p. Tarnowskiego z Kołędzian.

Borkowski dyrektor teatru uprzyjemniał wieczory prz edstawieniami teatralnemi. — Odegrano: Chłopi arystokraci. Staroświeczyzna i Postęp czasu. Wąsy i Peruka i Ulicznik paryski. Gdyby nie chrypka dyrektora, tłumiąca głos jego i niestósowne rozdawanie ról, byłby teatr nieźle wypadł. Wdzięczni mu jednak wszyscy, że przybył na czas jarmarku. Mało kto nie uzna poświęcenie się, w zawodzie tak mało korzyści osobistych obiecującym, a przecie przysposobić zdolnym kiedyś artystów, którzyby nastąpili po uwielbianych dzisiaj, choćby tych zastąpić nie byli w stanie.

Za zboże stare gotowe, płacono i sprzedano: Pszenicę po 8 złr. 30 kr., kukurydzę po 6 złr. 20 kr., hreczkę po 5 złr. 30 kr. m. k.

Zboże z Rossyi przez Husiatyn jeszcze prowodzą, spodziewają się jednak że lada dzień komorę dla przewozu zboża zamkną.

* Z środy na czwartek, zgorzało w Brzeżanach 22 domów w rynku i ratusz. Szkoda wynosi przeszło 100,000 złr. m. k.

* We czwartek wieczór tutejsze pięć band muzyki wojskowej wyprawiły capstrzyk. Przed mieszkaniem JEx. hr. Schlicka odegrano: Serenadę Szuberta, Potpourri z opery Verdi'ego najnowszej: Il trovatore i marsz koronacyjny z Proroka Mejerbeera.

Do dzisiejszego Numeru dołączona jest **rycina**. Opis podamy w następującym numerze.

Przyjechali od dnia 12. do 13. lipca do Lwowa:

PP. Bernatowicz Hipolit, z Sarnek. Skrzyński Ludwik, z Nozdrzca. Karnicki Felix hr., z Rogużna. Lewicki Grzegórz z Złoczowa. Czerwiński Jan, z Remizowiec. Badeni Alexander hr., z Stryja. Obertyński Leopold, z Stronibab. Głogowski Artur, z Bojaniec. Borkowski Bolesław hr., z Komarnic. Komar Wiktor, z Toporowa. Nahujowski Antoni, z Czernic.

PP. Wallis Michał hr., z Wiednia. Czacki Michał, z Krakowa. Torznicki Jan i Piotr, z Dąbrówki. Niedzielski Stanisław, z Turki. Hirschler Franciszek, z Horodysławic. Wolański Franciszek, z Rzepnic. Grabianka Tomasz, z Ohładowa. Cielecki Ludwik, z Łoziny.

Wyjechali od dnia 12. do 13. lipca ze Lwowa:

PP. Brzozowski Karol, do Brzeżan. Bojarowski Felix, do Buczacza. Malczewski Julian, do Czernik.

PP. Borkowski Jan hr., do Stryja. Garapich Władysław, do Cebrowa. Chwalibóg Jan, do Lipowiec. Ośmiałowski Szymon, do Janczyna.

Lwów 14. lipca. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 29 złr. 30 kr. do 30 złr. 30 kr. — Żyta po 24 złr. — kr. do 28 złr. — kr. Jęczmienia po 19 złr. 15 kr. do 19 złr. 45 kr. Owsa po 17 złr. 30 kr. do 18 złr. 45 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 20 złr. — kr. do 21 złr. — kr. — Ziemniaków po 10 złr. — kr. do — złr. — Sąg drzewa bukowego 25 złr. — kr. do — złr. Sosnowego po 19 złr. — kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 35 kr. do złr. 2 kr. 55. Centnar słomy 1 złr. 30 kr. do 1 złr. 50. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 1 Złr. 53 kr. m. k.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**

		Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	5	złr.	6	kr.	9.
Dukat cesarski	»	6	«	9	«	6	«	12.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	«	38	«	10	«	42.
Rubel srebrny rosyjski	»	2	«	3	«	2	«	4.
Talar pruski	»	1	«	58	«	2	«	—.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	30	«	1	«	32.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	»	92	«	50	«	93	«	10.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	—.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	130¾.	Medyolan za 300 lirów	129.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	153½.
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy	129⅞.	Agio duk. ces.	—
		Srebra agio	32.
Genua	—.	Pożyczka 5% 85 13/16. 4½	76.
Hamburg za 100 tal. banco.	96⅝.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—.	Akcye banku	1261.
Liwurno	127.	Kolej północna	1715.
Londyn za 1 funt szterl.	12. 43.	Obl. ind.	5%. —

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**